

WSPOMNIENIA /2013 rok/

Hela Wojniczówna, córka Michała i Elżbiety Wojnicz.



MOJE SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO!

Urodziłam się 24 stycznia 1930 r. na Wileńszczyźnie w Dołhinowie, miasteczku koło Wilejki. Mój tata Michał Wojnicz urodzony był w 1895 roku w Suwałkach na Podlasiu. Mama Elżbieta, urodzona w 1888 roku mieszkała we wsi Jaśkówka koło Wilejki w sześciuosobowej rodzinie. Tata, który był wojskowym w stopniu porucznika, miał swoją posiadłość w okolicy Suwałk. Rodzice zapoznali się jak tata miał 27 lat, a mama 34 lata i była wdową z siedmiorgiem dzieci. Jesienią 1920 roku pobraли się. No i dwa gospodarstwa, jedno koło Suwałk, drugie koło Wilejki to było za dużo. Upłynęło kilka lat, mamy życie stało się ciekawsze, powstały nowe zabudowania, co ja już pamiętam. Mama urodziła jeszcze pięcioro dzieci.

Przed wojną było więc nas dziewięcioro żyjących dzieci. Trzy dziewczyny i sześciu chłopców. To nie były żarty, aby wychować taką gromadę, na szczęście udało się w tamtym czasie.

Mama od dzieciństwa pracowała ze swoimi rodzicami. Było ich w rodzinie sześciu. Mieli 8 hektarowe gospodarstwo. Mama nie chodziła do szkoły. Babcia nauczyła moją mamę pracy na krosnach. Była to maszyna z drewna, na której można było tkać różne rzeczy. Tak było w tamtych czasach, że mama mając 16 lat została wydana za mąż.

Piekło się 8 – 10 dużych bochenków chleba, wystarczało tego na tydzień. Wtedy nie było jeszcze maszyn do wyrobu chleba, trzeba było wykonywać to ręcznie. Dobrze, że tata miał swoje żarna do mielenia mąki, to ułatwiało życie. Nawet inni ludzie przychodzili do nas ze zbożem robić mąkę. A na polu, to tak jak dziś rosło zboże: pszenica, żyto, owies, gryka, jęczmień, len – na materiały, konopie – na worki i różne postronki do uprzęży koni. To wszystko dobrze pamiętam, bo zawsze byłam ciekawa zajęć w gospodarstwie, lubiłam zwierzęta, a szczególnie konie. Choćby fakt, że w Azji dałam sobie radę z końmi tak jak mężczyzna.

Po wojnie, tu w Polsce jak nas przywieźli ze wschodu, dostaliśmy też od razu gospodarstwo 10 hektarowe. Cieszyłam się, chociaż nie uważałam, że tak będę pracować. Tato zadbał o naukę dla dzieci. Wspominam piękne moje dzieciństwo, jak uwielbiałam jeździć konno pomimo wieku. Na maj 1940 r. byłam przygotowywana do Pierwszej Komunii Św., ale nie doszło do tego, bo moje dzieciństwo skończyło się w lutym 1940 roku.

10 lutego 1940 roku wraz z rodziną wywieziono nas na ziemię nieludzką, dokładnie na Ural do Świerdłowska. Kopalnie rudy żelaznej Dziechciarka koło

Świerdłowska. No i na tym moje szczęśliwe dzieciństwo w wieku 10 lat skończyło się.

Rok 1939 . Ogłoszono II wojnę, w domu zapanował niepokój. Tata wiedział, że stanie się coś niedobrego. Moja starsza siostra – żona policjanta dowiedziała się od męża, że jej rodzinę /tzn. nas/wywiozą na ciężkie prace w głąb Rosji.

9 lutego rano 1940 roku przyjechali jacyś ludzie po cywilnemu prosić braci aby zgodzili się tego dnia zagrać w Domu Ludowym w naszym miasteczku Dołhinów.

Gdy bracia wrócili nad ranem, powiesili instrumenty, poszli spać. Byli zmęczeni. Mniej więcej po godzinie czasu było walenie do drzwi, ujadanie psa. Było ich czworo w mundurach i z długą bronią. Wtargnęli bardzo ordynarnie krzyząc „natychmiast wstawać no i wszyscy pod ścianę”. Dorośli i dzieci. Krzyczeli „szybko pod ścianę”. Dwóch pilnowało stojących pod ścianą, a dwóch wszystko i wszędzie rewidowali. Nie wiadomo czego szukali. Tato mówił, że chodziło o broń. Skończyli rewidować i z krzykiem do nas wszystkich „ubierać się do wyjazdu”. W domu zamieszanie, płacz, a najbardziej to mama krzyczała co wy od nas chcecie. Józek – 8 lat – przestraszył się ogromnie, zaczął wrzeszczeć. Służbiści też wrzeszczeli: szybko, szybko. Każdy z domowników nie wiedział jak się ubrać i co ze sobą zabrać. Krzyczeli „idioci, tylko ciepłe ubranie i kapy czy koce, nic więcej”. Brat chwycił akordeon to do niego z bronią ustawiło się dwóch, no a brat nie ustąpił, akordeon zabieram i możesz mnie zabić ja nie opuszczę mojego instrumentu.

Zamilkli jak psy. Tylko krzyczeli „bystrej, bystrej”. Każdy z nas się ubrał i zabrał też swoją pościel. Na posesji stały dwa zaprzęgi, każdy po dwa konie. Do stacji było daleko to zmarzli byśmy na kość, gdyby nie było pościeli. Mama z tatą pobiegli jeszcze wszystko sprawdzić, trzodę itp. Nie mogli się z tym pogodzić, że wszystko zostaje bez opieki. Ale tylko ja bardzo płakałam, Józek ze mną zaczął krzyczeć jak nasz kochany wilczur wył, nie szczekał. To tak wyglądało jakby pies wyczuł, że widzi nas ostatni raz. Taki widok był i jest nie do wiary, rozpacz, łzy całej rodziny.

Wszystkich nas wysłańców wpakowano do bydłych wagonów. Był to cały transport ludzi. Całą naszą rodzinę dali do jednego wagonu. Było nas 13 osób. Brat Antoś z żoną i trojgiem dzieci, tata, mama, Janek, Dymitr, Kazik, Józek, ja Hela i nasza bratowa Elżbieta, która była w ciąży z czwartym dzieckiem, które wkrótce umarło.

Transport ruszył. Już była noc, bo ciemno. Kto mógł to spał, ale na ogół był gwar w wagonie. Słyszałam płacz, ale nie wiem kto płakał. Dla nas wszystkich Polaków, osadników wojskowych i ludzi którzy byli nieco bogatsi skończyła się sielanka 10 lutego 1940 roku. Rosjanie mieli zamiar zniszczyć tych, jak sami nazywali kułaków tzn. bogaczy. No i tak zrobili. Wtargnęli do ludzi Bogu ducha winnych z bronią długą, wrzaskiem i zrobili to co planowali z pewnością przez jakiś czas.

No i tak nas wieźli przez cały miesiąc. Dwa razy na dobę transport zatrzymywał się na chwilę, by ludzie mogli się załatwić koło wagonu. Pociąg zatrzymywał się w polu. Krzyczeli z bronią nad głową „bystriej brasaj” tzn. szybciej sraj czy sieri.

Drugi postój był długi, bo parę godzin. Przynosili posiłek – zupę. Wiadro i kubki dali do wagonu. Potem już jak transport stawał żeby dorośli załatwili się koło wagonu to można było nabrać śniegu, albo lodu, a najchętniej sople jeżeli były, bo śnieg jak się roztopił to było go mało. No i tak już było każdego dnia.

Ja, gdy spałam „na bantach”, to włosy moje przymarzały do ściany wagonu. Nie mogłam wstać.

Mama wchodziła na banty i nie miała czym odciąć włosów, to wyrywała je z lodu po trochu, aby mnie uwolnić. Od tamtego dnia była też nauczka dla innych, aby nie dotykać ściany. I tak nas wieźli przez cały miesiąc. Dla nas to była wieczność.

Po miesiącu dotarliśmy do celu na Ural do Świerdłowska. W miejscowości Dziechciarka – zbudowano osiedle dla skazanych, długie baraki z desek. Dalej trwały prace. Dla przybyłych też były takie baraki. Różniły się tym, że miały wejście z dwóch stron, czyli podwójne. Do jednego pomieszczenia/1 pokój/ pakowali jedną rodzinę. Nas dali do jednego pomieszczenia 8 osób, a brata żonatego z dziećmi do pomieszczenia z drugiej strony 5 osób.

Za pracę w kopalni nie było wynagrodzenia. Dla osoby pracującej było tylko 400 gram chleba bardzo czarnego razowego, ale to i lepiej, bo ten chleb był trwalszy od białego. Dostawali też pół litra zupy.

Rodzina pracujących pod ziemią dostawała po 200 gram chleba na dobę, na osobę. Dokuczał głód, zimno, brak wody. Ludzie zaczęli umierać, po dwie osoby w jednym dniu w rodzinie.

Nawet Ruski rząd zorientował się, że niedobrze się dzieje, że Polacy umierają jak muchy. Dopiero wtedy doszli do wniosku, że trzeba im dać wolność, bo umieralność jest zbyt duża. Dobrze wiedziała już o tym Wanda Wasilewska, która była polskim przedstawicielem we władzach rosyjskich w tym rejonie. To ona postarała się i wywalczyła, że pracującym w kopalni dawali podwójną porcję zupy i więcej chleba.

W połowie 1941 roku rząd rosyjski widząc, że tak dużo Polaków umiera dał im wolność. Można było już coś kombinować ale wokoło tylko skały. Przyszedł czas, że i u nas w rodzinie też zaczęło ubywać osób. Mietek – 19 lat – zmarł, tylko jeszcze przed śmiercią chciał jeść i wołał „mama chcę kołduny”. Wstał z posłania, doszedł do okna i mówi do mnie „patrz jaki ja duży urosłem”. Za chwilę położył się zawołał mamę. Przybiegła z wodą, a on kończył życie. Krzyk. Ja pobiegłam po bratową na drugą stronę baraku. Przybiegłyśmy, a on nie żyje. Brat Janek – 28 lat – wypadek w kopalni, urwało mu palec prawej ręki. Na opatrunki chodził z dwoma kolegami, braćmi Jaworskimi, którzy donieśli do NKWD co Janek mówił do pielęgniarki, która go pytała jak się żyje.

Janek mówił, że Polska nas wychowała, dużo dzieci było, a tu my dorośli nie mamy co jeść, poumieramy wszyscy. NKWD przyszło w nocy, zabrali brata. Jaworscy dostali po bochenku chleba, a brat dostał 10 lat ciężkiego więzienia za politykę. Więzienie było w Omsku. Tam tato dostał wezwanie. Na sprawie Janek powiedział tacie, żeby podziękował Jaworskim, że wsadzili go do więzienia na 10 lat. Umarł za patriotyzm. Tacy byli koledzy Polacy.

Ja nie mogłam dalej trwać, gdy nie było brata Mietka. Pochowany w skałach na Uralu umarł jako 19 latek, mój kochany brat. I jeszcze brat Janek. Ostatni jego list /miał 28 lat/ był tragiczny, że musi umrzeć z głodu.

Tata i żonaty brat Antoni postanowili jechać „za chlebem” w kierunku Azji. Tata i brat umarli w więzieniu. Po śmierci Antosia tato postarał się o dokument o jego śmierci. O śmierci taty nie dostaliśmy już wiadomości.

Tak się złożyło, że Wanda Wasilewska była w tym czasie wielką działaczką dla Polaków w Azji w wojewódzkim mieście Ufa. Załatwiła aby Polaków z Uralu wywieść do Azji do kołchozów. No i tak było, ale już w tym czasie kiedy nam zabrakło trzech braci i taty. Już nam nie groziła śmierć głodowa. Dwóch następnych braci zostało skierowanych do pracy we młynie i oni starali się aby przynieść parę dekagramów mąki.

Zawiazywali nogawki w kałesonach i po parę garści mąki przynosili. Byli rewidowani, ale nic nie znaleźli. Już w domu stawiali na szmacie i wytrzepywali tę mąkę. Już mogliśmy przeżyć głód. Dwóch braci, mama, ja, Józek troje dzieci Antosia i jego żona zachowali życie.

Pod koniec 1942 roku dwoje dzieci brata 12-letnia dziewczynka i 8-letni chłopak zostali zabrani do domu dziecka. Trzecie dziecko 10-letni chłopak nie chciał opuścić swojej matki i przy niej został.

Natomiast moja rodzina tj. dwóch dorosłych braci, mama, ja i Józek wyjechaliśmy do Azji do miejscowoci Zajcowo, za pozwoleniem Wandy Wasilewskiej, gdzie już dali nam adres, gdzie mamy być, pracować, nie umierać.

Nie trwało to długo, bo już pod koniec 1942 roku powołano na wojnę dwóch dorosłych braci Dymitra – 26 lat i Kazimierza – 22 lata.

Nastąpiła wiosna 1943 roku. Zostało nas troje. Mamę, Józia i mnie umieszczono w szkole. Spanie było na podłodze. Dokuczały różne pasożyty. Mama i ja musiałyśmy pracować w kołchozie.

Józio był jeszcze niedorośli i chory. Ja z mamą pracowałyśmy w polu. Zboże cięło się sierpami.

Kazik poradził Dymitrowi zakręcić jedwab do papierosa i wypalić. Dostaniesz wysokiej gorączki i po paru dniach zwolnią cię do cywila - mówił. Pojedziesz do mamy i dzieci. Micia był zadowolony z tej rady Kazika i tak zrobił. Po tym papierosie już za parę dni był u nas w Azji. Tylko jedną noc się przespał, a rano pobiegł do swojej poprzedniej pracy. Pracował w stolarni, był zadowolony, że jest z nami. I tak to trwało 3 miesiące. Zmarł, kaszląc i plując krwią.

Piąta dorosła osoba nie żyje. Mama miała rację jak rwała włosy z głowy, że po co ja i Józio żyjemy jak wszyscy pozostali, dorośli w wieku 19 do 46 lat zginęli. Mietek, Antoś, Janek, Micia /Dymitr/ i tato Michał. To naprawdę była dla nas tragedia. Życie stawało się co dnia trudniejsze.

Dostaliśmy kilka listów od siostry. Jej mąż milicjant, ten, który nie chciał powiedzieć kiedy nas wywozą został spalony z takimi jak on na stosie przez Niemców, w naszym miasteczku Dołhinów koło Wilejki. To był mąż siostry Mani. Ola, druga siostra mieszkała około 30 kilometrów od nas w miasteczku Ilia, też koło Wilejki. Miała dwoje dzieci. Jej męża zabrali Niemcy. Ona myślała, że zginął, a on jakoś uciekł do Australii i nie odezwał się do nich. Tam założył rodzinę ale dopiero jak zestarzał się to przypomniał sobie o Polsce i do nich pisał.

1943 rok. Przetransportowali nas na kwatery prywatne, ale spaliśmy na podłodze. W nowym miejscu stałymi mieszkańcami byli Tatarzy i Maryjcy mający swoją gwarę. Moje tamtejsze koleżanki nazywały mnie Polaczka, cały czas Polaczka. Uczęszczałam do rosyjskiej szkoły, uczyłam się dobrze. Rano

trzeba było iść do pracy. Chodzić do szkoły to była konieczność i chodziłam tam nie tylko ja. W ciągu całego pobytu w Baszkirii ukończyłam 7 klas szkoły podstawowej.

W Azji Baszkiria z Tatarami i Maryjcami – tu przyszło nam żyć. W kołchozie było dużo różnego zboża, ziemia czarna, dobra. Była nawet plantacja słoneczników i różne ogrodowe. Bardzo dużo hektarów przeznaczali na ziemniaki. Były też

Po wojnie wrócił cały i zdrowy. Nawet gdy kule leciały to jego omijały. Tak sam twierdził. Z wojny wrócił w mundurze z pełną piersią medali. Na każdy medal miał dokument na nazwisko Malewicz Kazimierz starszy sierżant. Za zasługi w obronie Polski dostał między innymi Krzyż Virtuti Military. Dziś ma wojskową emeryturę. Ma też emeryturę rolniczą, bo był rolnikiem. Teraz ma 93 lata.

Nadeszła już piąta, ciężka wiosna. Wanda Wasilewska miała już wszystko zorganizowane odnośnie Polaków. W krótkim czasie przyszła pisemna wiadomość do wszystkich rodzin polskich z Ufy /stolicy Azji/, że wojna skończyła się. Polska została wyzwolona 9 maja 1945 roku oraz, że nastąpi organizacja powrotu Polaków, którzy byli wysłani 10 lutego 1940 roku do Rosji. Od czasu tej wiadomości z pewnością ludzie byli szczęśliwi, ale mama nie - z wiadomych przyczyn. Smutek i płacz był codziennie.

W kołchozie ruskie baby zaczęły żałować, że my wyjedziemy tak daleko, aż do Polski. Zazdrościły bardzo, że my będziemy żyć lepiej od nich.

Doczekaliśmy wiosny 1946 roku. Miesiąc kwiecień 1946 roku okazał się dla mnie szczęśliwy, bo nareszcie dostaliśmy wiadomość, że nastąpi powrót do Polski. Ale wkrótce była już decyzja, że transport Polaków do Polski odbędzie się 12 maja 1946 roku z miejscowości, której nazwy nie pamiętam o godzinie 16.00. Było to 20 kilometrów do stacji, tam gdzie odstawiało się zboże z kołchozu. My mieliśmy takie same wagony jak te kiedy zabierali nas z Polski. Towarowe czy bydłowe, z jednym oknem tyle tylko, że bez karabinierów.

Po paru godzinach drogi przyszła kobieta szukając Heleny Malewicz. Od razu byłam pewna o co jej chodzi. Zabrała mnie do innego wagonu, gdzie były łóżka dla chorych, szklana szafa z lekami. Było czysto .

Dotarliśmy na Dolny Śląski 16 czerwca 1946 roku. Tu zaczęła się segregacja. Znaleźliśmy się w Dzierżoniowie, ale niektórzy pojechali dalej. Z Dzierżoniowa furmankami porozwozili nas do różnych miejscowości. Nas i kilka innych rodzin zawieźli do Jordanowa koło Łagiewnik. Mieszkaliśmy tam w szkole tylko 3 dni, a potem zawieziono nas do polskiego gospodarza w Sokolnikach koło Łagiewnik tj. 6 kilometrów od Jordanowa. W Jordanowie jedzenie dawała nam szkoła, a w Sokolnikach jeść dawała rodzina polska i było ono bardzo dobre. Gospodarzem był Pan Czesiek, dobry człowiek. W ciągu miesiąca trzeba było załatwić sobie docelowe miejsce zamieszkania. Należało iść do PUR tj. Polski Urząd Repatriacyjny, który mieścił się w Dzierżoniowie.

Jest to 20 kilometrów od Sokolnik no i ja musiałam wszystko załatwić, bo dokumenty były wystawione na mnie. Nie było wyjścia i musiałam pewnego dnia tam iść. Wszystko załatwiłam w jednym dniu. Dostałam dokumenty na 10 hektarów ziemi w tym dwa hektary łąki plus zabudowania, 1 koń, 1 krowa i maszyny rolnicze. Był to duży majątek we wsi Gilów. Było trzech wspólników gospodarstwa. Dwóch braci Rzeszowskich, którzy mieli 20 ha i Dłubak miał też Ale i tak postawili na swoim /Kazik z mamą/, zorganizowali dla mnie ślub na miesiąc luty 1947 roku. Miałam wtedy pełne 17 lat /dopiero/. Zamiast do szkoły

to do ślubu. W dniu ślubu najpierw otrzymałam Pierwszą Komunię Świętą , a potem odbył się ślub.

Ten Pan u nas zamieszkał. Miał swój pokój, ale żoną nie byłam. Pytałam tylko dlaczego ten Pan u nas mieszka. Tak to trwało do sierpnia 1947 r. W sierpniu ten Pan /mąż/ zaproponował mi, że ma domek i czy ja tam z nim zamieszkam? Zgodziłam się pod warunkiem, że będę osobno spała, obiecał że tak. Ale nie było osobno, bo było tylko jedno łóżko. Po trzech dniach zostałam zmuszona do seksu. Poczułam wstręt do tego Pana i uciekłam do innej miejscowości, gdzie byli znajomi z wysyłki. Szukał mnie, mama dała namiary gdzie mogę być i mnie znalazł. Zabrał mnie do domu, ale już nie było miło, byłam w ciąży.

5 maja 1948 roku urodziłam w domu córkę. Byłam szczęśliwa, bo moja córcia była bardzo duża 4,5 kg i śliczna jak każde dziecko dla matki. Dziecko miało 3 latka jak postanowiłam iść do szkoły.

Ja byłam nawet grzeczna do mojego Pana męża. On znalazł mieszkanie we Wrocławiu i ja z radością wyprowadziłam się w 1953 roku i życie toczyło się bez większych zmian. Moja córcia miała już 5 latek, była i jest moją pociechą. Do Wrocławia wyjechałam będąc w ciąży, bo tak bardzo chciałam mieć jeszcze dziecko.

Urodziło się drugie dziecko, było następne szczęście, ale nie tak jak sobie mąż wymarzył, bo to była dziewczynka, a on wymarzył sobie syna. Powiedział to trudno, będzie o pół litra mniej wypite, a za trzecim razem będzie syn. Po trzech latach pojawił się syn, to już była pełna radość, ale nie na długo. Jego radością nadal była praca i koledzy. Tego nie wyrzekł się przez całe życie. To małżeństwo mogłoby trwać do końca życia, ale nie trwało.

W roku 1965 bardzo pragnęłam odwiedzić strony rodzinne. Było to 25 lat po wywózce. Spełniło się moje marzenie. Dobrze zrobiłam, że wybrałam się tam, bo rozumiałam, że tu w Polsce nie jest mi źle. Zdecydowałam się na wyjazd do USA. I tak się udało, że mogłam wyjechać. Wysłałam zaproszenia dla córek, odwiedziły mnie w USA, a syn to nawet już do Polski nie wrócił. Mieszka w Kalifornii na stałe. Ja natomiast w USA czułam się jak to w obcym kraju. Tęsknota nie pozwoliła mi tam dalej przebywać. Wróciłam po 5,5 roku, ale nie żałuję.

W 1990 roku zostałam członkiem Związku Sybiraków, a w 2005 roku za „niehumanitarne lata” od Prezydenta Rzeczypospolitej Polski Aleksandra Kwaśniewskiego otrzymałam Krzyż Zesłańców Sybiru.

Pisać skończyłam 2.06.2013 r. Co prawda dużo przy tym było płaczu i żalu, dlaczego los mnie tak skrzywdził, ale napisałam moje wspomnienia dla potomnych i po to, żeby Ci, którzy będą je czytać docenili i bardzo szanowali swoje życie.

Mietek syn Kazika nie żyje. Brat Kazik zmarł w 2016 r.

Helena Brzezińska

Mama zmarła w dniu 10.11.2020 r. po długiej chorobie /4 lata/. Pochowana została zgodnie z Jej życzeniem w grobie swojej Mamy Elżbiety Malewicz i brata Józefa Malewicza. Ich troje przyżyło Syberię, razem wrócili do Polski i razem spoczęli w jednym grobie. Krzyż Zesłańców Sybiru został pochowany

razem z MAMĄ, a przedmiotowe wspomnienia rozdane dzieciom, wnukom i prawnukom.

W/w treść dopisała najstarsza córka Heleny Brzezińskiej – Janina Kłossak z domu Brzezińska.

Mama wyraziła zgodę na ewentualne, publiczne udostępnienie Jej wspomnień, co niniejszym przekazuję.

Z poważaniem

Janina Kłossak 11.12.2020 r.

Giołno Ola z rodzimę 1937 N.



Mama, Józio, ja 1940 N.



Mama



Mama
w Świercowskiej



Syberia



Mama



Józio, brat Józio (lewa) z kuzynką
1939 N

1946N.



1970 - Koniec szkoły



30.02.1947N



2.02.51N



1982N



1962N.



**Skrótu mysli p. Janiny
Dokonał:
Antoni Tunkiewicz**

Tak to było podczas wszystkich zsyłek. Człowiek się nie liczył! Większość przeżyło swoje dzieciństwo /młodość/ w podobny sposób. Dla żyjących – pozostała pamięć i dbajmy o nią!

Dziękuję Pani Janinie za przysłanie wspomnień swojej mamy z pierwszej zsyłki w dn. 10.02.1940 r. Tych zsyłek było dużo przed tą datą /w okesie trwania zaborów i wojen polsko-rosyjskich/, jak i po tej dacie ... aż do lat pięćdziesiątych XX w.

Wg historyków polskich i m. in. z Anglii polskich zesłańców w trakcie trwania II w. św. i po niej zesłano na tereny byłego ZSRR, nawet do 1.7 mln, wg Rosjan oczywiście dużo mniej. Mam nadzieję, że z czasem dojdziemy do prawdy!

PAMIĘTAJMY O ZESŁAŃCACH:

L.P.	DATA	ILOŚĆ ZESŁANYCH	UWAGI
1.	10.1939-02.1940	Ok. 50000	Nie licząc jeńców ok. 200000
2.	10.02.1940	140000* 220000**	*wg Rosjan **wg Polaków
3.	13-14.04.1940	61000* 320000**	Głównie kobiety i dzieci
4.	05-06.1940	80000* 240000**	Głównie Żydzi obywatele Polski
5.	05-06.1941	185000* 280000**	Inteligencja i tzw. „Kułacy”
6.	1945-1946	Ok. 50000	Z ziem włączonych do ZSRR
7.	1944-1952	Ok.200000	W tym pkt 6

- Na podstawie uchwały rządu sowieckiego z 05.12.1939 nr 1001-558 SS o wysiedleniu.

- Wg brytyjskich historyków /Roger Moorhouse, Norman Davies/, zesłano ok 1.5 mln. obywateli polskich.

MY – żyjący starajmy się pamiętać o wszystkich „co zaliczyli SYBIR”, a głównie o TYCH co tam zostali na zawsze, a do dzisiaj nie mają nawet KRZYŻA!

Miejmy **WSZYSTKICH** w swojej pamięci!, a duszę polecajmy Panu Bogu!, a żyjącym życzymy zdrowia..., nie tylko z przyczyn zesłania, ale i trwającej pandemii.

07.02 o godz. 12.00 odbyła się msza św. w intencji Sybiraków – ww. wymienionych oraz naszego kapelana ks. prof. Franciszka GŁODA /po dwukrotnym pobycie w szpitalu/.



Tą drogą składam serdeczne podziękowania p. Stanisławie SZARYCZ i rodzinie za zorganizowanie mszy św. oraz zapalenie znicza i złożenie kwiatów.

10.02 – zgodnie z planem o godz. 11.00 odbędzie się w kościele św. Bonifacego msza św., a następnie złożenie kwiatów pod pomnikiem „ZESŁAŃCOM SYBIRU”. W tym dniu p. Wanda GOC zostanie odznaczona srebrną OH. Gratulujemy. Ze względu na korona wirusa, w tym roku obchody będą skromniejsze, jak w latach ubiegłych!

11.04 – na godz. 12.00 zapraszamy na mszę św. do kościoła pw. NMP Różańcowej na Złotnikach.

**DZISIAJ PAMIĘTAJMY O SZCZEPIENIACH
/O SWOIM ZDROWIU/**

Z poważaniem
Antoni Tunkiewicz
Koło Fabryczna